

Robert Miniak - *Drzewostany*



Drzewostany ROBERT MINIAK

stron 64, oprawa miękka

redakcja: Piotr Grobliński

ilustracje: Anna Maria Jurewicz

opracowanie graficzne: Paulina Narolewska-Taborowska

Łódź 2011



Robert Miniak (1969) - łodzianin, poeta, prozaik, absolwent polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego, członek Zarządu Koła Młodych przy Łódzkim Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich i Leszczyńskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Laureat wielu konkursów literackich. Swoje utwory publikował w czasopismach (m.in. "Topos", "Fragile", "Arterie", "Tygiel Kultury", "Red", "Odra"), w antologii łódzkich debiutantów "Na grani" (SPP Oddział w Łodzi, 2008) i licznych almanachach pokonkursowych. Autor tomików poetyckich: "Refleksy" (Piła 2006) oraz "Czarne wesele" (Kwadratura, Łódź 2008).

FRAGMENTY:

STRUŻYNY

święte szkło

*Nie przynoś mi ściółki z lasu, synu,
ani żadnej rzeczy, która jego jest.*

tej wsi już nie ma, tylko niektóre kamienie
łazą się jak dusze kotów. mech jest miękką
sierścią. gładzisz pod włos, a za palcem pozostaje
smuga, jakby ktoś po zielonym przesunął samolot.

w chałupie po prawej mieszkał bał'ko Kostia
(ten, który obiecał, że nigdy nie dorośnie do cmentarza).
*bo po co latem zakładać na siebie trawę,
kiedy ciepło, lepiej z krowami pójść, pozwolić im*

skubać. straszyl dzieciaki, że pod ziemią rosną
ludziom włosy. wyłażą jak trawa między kamieniami,
plączą stopy w kołtun. wszystko się rozpadało
jak stara cerkiew, z której witrażowych okien

wypadali święci. najdłużej trzymał się Chrystus. widać,
że się szarpał, próbował zmartwychwstać, choć przez święte
dziury wlatywały muchy. w ruinach zbierałem kolorowe
szkiełka. kiedyś były Ciałem.

zaćma

najstarszy we wsi był staw. po każdym większym deszczu
długo cierpiał na zaćmę.

dotykała językiem kamyków, mówiąc, że pozna, po ślinie
pozna, po zapachu zostawionym na trzcinach. zupełnie jakby
nie utonął, tylko zgubił się po kawałku, rozmienił w stawie
na deszcz.

wieczorami po wodzie niosło. chłopaki szeptały
z drugiego brzegu: *Ninoczka, to ja – twój Daniłó,
twój mąż jedyny, ukochany. przyjdź do мене noczu, przyjdź...*
o północy podciągała spódnice, kucała na płytkim.
podglądaliśmy, jak liże palce. wsuwa w siebie księżyc.

suchoty

rzeka pluje krą, patroszy dzielnice
jak kozik wbity mocno pod obojczyk mostu.
zbiera wszystko, co krwawe – trupy psów i siennik,
by wepchnąć w usta morzu, zapchać je na amen.
wszystko, co kiedyś ważne, odpłynęło z sianem,
stertą śmieci, pleśnią, resztkami z pluszowego miśka,
kolekcją słoników na starym regale.
ojciec tej dziewczynki zawsze pragnął syna.
chciał, by zabił rzekę. został Hannibalem

PĘDY

matka Rosemary

*nie zakopuj tej sukienki, przecież
rzeczy nie zmartwychwstają.*

na mokradłach mieszka wiedźma – mówili, gdy wyśniłam
dom z krokwi na jaskółczy ogon, a ty śmiałeś się,
że za furtką wszystko jest najstarsze. przestrzeń traci pion,
krzywi się pod płótem jak pordezwiwała damka.

staruszka prosiła: *pozwólcie odejść w maju, żeby we włosy
wplatał się rozchodnik*. było w tym coś odświętnego
jakby w środku zimy rozpoczął się biały tydzień. a przecież
śnieg płowiał, ich zdjęcie na kredensie było tylko ramką

do innego światła. *lubił mnie w tej sukience, trzymam ją
na koniec*. przedwczoraj mówiłeś, że dobrze mi w brązowym.
zupełnie jak ona wieszam w szafie bagno.

sierść

założmy, że nas nie ma, a twój tatuaż
to tylko łamigłówka, nagły zwrot spojrzenia
na inną stronę skóry. wbijasz sobie igłę, a kropla
wędruje po skórze jak biedronka.

to wszystko się zaczęło, gdy potrafiłem psa – płakałaś
a potem musiałem zakopywać wszystkie pluszaki.
jestem już dorosła – mówiłaś i kładłaś się na dywanie,
jak dziewczyna od Almodovara. chodź

pomaluję ci paznokcie. szkoda wracać z gór. stłamsiliśmy
już wszystko jak śpiwór. kiedyś to opowiesz i ojciec krzyknie: *ścierwo*.
ale teraz zaśnij, sen ma wielkie oczy. rano powieki otworzą kobietę.

zaklinacz koni

drugi jeździec wyjdzie z wody

gdzieś daleko poci się lodowiec i morze wychodzi
z formy. noga za nogą, na płaskie, po kamieniach i piachu.
to miasto jest pierwsze z brzegu. jego lęk skrada się
jak kościelny dzwon, pulsuje zawsze

o szóstej. na plaży ktoś zostawił połamane grabki, popatrz –
w plastikowych zębach błyszczy srebrny denar. szkoda,
że wszyscy muszą stąd odejść, jeszcze chwila, a znaleźliby
grób wojownika (pomiedzy żebrami rzemyk –

znak, że kiedyś był dobrym jeźdźcem). dzieciaki
boją się tego miejsca, mówią, że przybiega tu smutny koń.
liże morze.